

NA KRÓLEWSKIM DWORZE.

---

# NA KRÓLEWSKIM DWORZE.

(CZASY WŁADYSŁAWA IV).

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM III.

WARSZAWA.  
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—  
1898.

Дозволено Цензурою.  
Варшава 7 Июля 1898 года.

# I.

W połowie siedemnastego wieku, stary gród Kijów, był smutną, ogromną, podaniami ozłoconą ruiną. Nad brzegiem wspaniale toczącej się rzeki rozłożony na malowniczych, zielenią i drzewy okrytych wzgórzach, cały prawie się składał z niskich, szarych drewnianych domostw, ogrodami i parkanami otoczonych, z których niewiele nad jedno podnosiły się pięterko. Wśród nich potężne gruzowiska kupy, porośnięte już krzewami i drzewy, grube ściany murów odwiecznych, sterczące z obłamanymi sklepieniami, w których gliniane garnki przegładały, szczątki murów wiekami zlanych w jedno ciało, mogiły cerkwi i teremów, podnosiły się jak na cmentarzysku groby. Gdziekolwiek tylko pobożne ręce stary gmach razwalony podniosły, umalowały i ozłociły.

Lecz nowe życie na rozległych ruinach, było za ledwie pobożną strażą nad tem zbiorowiskiem grobów, których tu więcej się spotykało na każdym kroku niż żywych ludzi. Ziemia, drzewa, wody, wesoło znowu przędły życia swego dzieje, człowiek nie potrafił przywrócić tego co tu niegdyś istniało—potęgi i siły. Ludzie nowi wyglądali jak mrowisko na szerokim polu pustkowia; wesołość natury ze smutkiem osieroconych resztek rozpędanego narodu, była w sprzeczności obrazowi temu nadającej cechę własną.

Ruiny ledwie widoczne panowały jeszcze nad żywotem i w nich go więcej było niż w tem co się tu poruszało leniwo i smutnie. Co krok obok chaty ubogiej spotykało się kupę rumowisk, której wieki pożyć nie mogły, stojącą jak pytanie, jak rozwalony grób bez imienia. Tylko w ustach ludu do każdej z tych mogił przywiązana była baśń, pieśń, legenda, jedna strofa rozerwanej i zaginionej epopei. Na tem zgłiszczu jednak i pieśń nie śmiała się rozlegać głośno, przez poszanowanie przeszłości, i ludzie stąpali cicho, i podanie szeptało półgłosem u wieczornego ognia, aby widm śpiących nie zbudzić.

Było to jakby jedno wielkie grobowisko. Dwie tylko prastare świątynie nanowo wyrosły z gruzów i świątecznemi ubrały się szatami — Sofia i Michał. W pierwszej z nich świeciły jeszcze szklane obrazy, których lata skruszyć nie mogły; na drugim błyszczał złocisty dach, zwiastujący, że pod nim spoczywały zwłoki świętej męczennicy Barbary.

Całe życie przeszłości w tych dwu jeszcze świątyniach biło tętnem dawnem pocichu. Dokoła gęste drzewa i zarośla zdala widziane stanowiły jakby morze zieleni, gdzieś tam szarym dachem i czarnym upstrzone kominem, zórawiem studni, wierzchem krzyżyka jakiejś kaplicy lub domu modlitwy.

Szeroko u stóp wzgórza w padole nad rzeką rozciągały się w rozpierzchłe domy, objęte wałem i drewnianymi tynami, które mur obronny zastępowały. Ponad temi kurtynami bastiony drewniane także z daszkami śpiczastymi występowały, jak strażę czujne w dal spoglądając.

We wnętrzu grodu życie płynęło cicho i jak w starcu krew zgęśla, powolnie... czuć było jakby dwa prądy jego wzajem unikające starcia i spotkania, wchodzące w ziemię, wytryskujące z pod niej, przeciągające istnienie uparte walką upartą.

Wysłuchawszy się w rannych dzwonów modlitwę, ucho rozróżnić mogło, dwoma, językami z dwóch